



Biurowe LOVE STORY

Napisał: Andrzej Zimniak

Ilustrował: Zygmunt Januszewski

Kiedyś zaszło wydarzenie, powszechnie określane jako niemożliwe. Wydarzyła się katastrofa w Przerzutni między Światami Równoległymi.

Marcin Kalina, stojąc na skraju sawanny z teczką wypchaną gazetami i drugim śniadaniem, widział unoszące się w niebo krańce horyzontu. Zjawisko przywodziło mu na myśl zmianę znaku krzywizny globu, coś

w rodzaju zapadania się części powierzchni gumowej piłki, z której wyduszono powietrze.

Antylopy skakały przez przestrzeń jak wyrośnięte pasikoniki, słonie dostojnie szymbowały w powietrzu, a drzewa kładły się posłusznie przed falą zwijającego się rulonu tego świata.

Kalina gapił się na to wszystko raczej

bezmądrze. Dlaczego akurat sawanna? Nie wiedział. Zawsze przechodził przez sawannę, zdążając do pracy w świecie, w którym otrzymał posadę. Taki sobie obrazek upiększający, reklamówka ciesząca oko. Jak fotografia ładnej dziewczyny lub niedźwiedzi w ZOO zawieszona w przedziale kolejki podmiejskiej.

Co powie kierownikowi Bulajowi? Że żona dostała kolki? Awariami w Przerzutni tłumaczył się ostatnio zbyt często.

Robiło się nieznośnie gorąco. Kalina rozpiął kołnierzyk i wtedy coś pstryknęło, zrolowana sawanna zniknęła i na parę sekund zrobiło się ciemno i duszno. A potem wokoło jak dywan rozwinął się inny świat. Trochę dziwny.

Po niemożliwie szerokich ulicach i kilometrowej długości placach spacerowały, jak okiem sięgnąć, groźne bestie: pająki wielkości nosorożców, przerośnięte małpy szablozębe i pancerne pterodaktyle. Bliżej Kaliny trafiały się żrebaki i małe pieski, a zupełnie niedaleko kręcili się ludzie potężni, szerocy w barach i patrzący spode łba.

Marcin Kalina jęknął, ale nie wypuścił z ręki wypchanej teczki. Wydawało się, że i w tym świecie nie będzie niczego, co można by bez obrzydzenia włożyć do ust.

Wtem dwa potwory rzuciły się na siebie, na oslep zadając ciosy, lecz po chwili odskoczyły na bezpieczną odległość i każdy poszedł swoją drogą, liżąc rany. Podobne utarczki wybuchały co krok także wśród koni, psów i ludzi. Ci ostatni tłukli się pięściami i rozbijali sobie nosy, a kobiety, nie ustępując w niczym mężczyznom, drapały i wyrwały przeciwnikom kępy włosów.

Zadrzał nasz Kalina i zapragnął wrócić do przytulnego biura i do pulchnej żony, ale nie wiedział, jak to zrobić. Ocalał z katastrofy, lecz wyrzuciło go w nieznany i wrogi świat. Nigdy nie czytał o katastrofach, przynajmniej nie pisano o nich w gazetach, które zawsze nosił w teczce i rozkładał na biurku w swojej kancelarii, spożywając drugie śniadanie.

Smętne urzędnicze rozmyślenia przerwała ogromna małpa, zbliżająca się wyraźnie w stronę naszego bohatera. Gdy była już niedaleko, płynnie zamieniła się w rosnącego buldoga, a potem w przygarbionego człowie-

ka, który gnał z zaciśniętymi pięściami na biednego Kalinę. Ów próbował tłumaczyć, że znalazł się tu przez pomyłkę, ale... wtedy stała się rzecz okropna. Gdy człowiek podbiegł na odległość wyciągniętej ręki, zamienił się znów w wielką, drapieżną małpę, która w okamgnieniu rzuciła się na oniemiałego ze strachu rozbitka. Na szczęście odskoczyła z obrzydzeniem, zadając tylko lekki cios, który przybyszowi z zaświatów i tak wgniół głowę w ramiona.

– Parszywy odmieniec! – zaskrzeczała, wycierając łapę o trotuar. Chwyliła zniszczoną Kalinową teczkę i umknęła, przechodząc wraz z rosnącym oddaleniem kolejne stopnie metamorfozy, tylko w odwrotnym porządku niż poprzednio.

Urzędnik bez teczki jest jak żołnierz bez karabinu lub jak dziewczyna bez biustu. Powlókł się tedy zmaltretowany i zawstydzony Kalina na przystanek translokacji. W wagonie bijatyki nie wybuchały tylko dlatego, że każdy miał oddzielny boks. Tam poznał Nghrmn kobietę swego życia. A było to tak.

Zapomniawszy o niebezpieczeństwie Marcin Kalina przechylił się przez gęstą kratę dzielącą boksy i spytał najprzejmiej jak umiał, czy ktoś ma bilet do odstąpienia. I, o dziwo, nie dostał po pysku, lecz został obdarzony uśmiechem twarzy niezbyt urodziwej, ale nie mającej nic z małpiej mordy lub dziobatej paszczy pterodaktyla. Kobieta wręczyła mu bilet, a dopiero potem jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Ile jestem winien? – szarmancko spytał Kalina.

– Ależ... nic – powiedziała tak jakoś, że najbardziej zapamiętały żonkoś by nie zdzierzył, a co dopiero Kalina. Przecież musiał w jakiś sposób uiścić należność. I tak się zaczęło, a potem potoczyło się błyskawicznie i tak zwyczajnie jak w szmirowatym komiksie. Lecz nie zapominajcie, drodzy Czytelnicy, że od drugiej strony, czyli dla nich dwojga, wszystko było cudowne i jedyne.

Miała kędzierzawą czuprynę, wydatny szeroki nos, wystające kości policzkowe i mięsiste wargi, ale wyglądała pięknie i robiła się coraz piękniejsza, gdy już po wstępnych zalotach spacerowali pod rękę.

– Dlaczego jesteś inna niż wszyscy tutaj?

– pytał, rozkoszując się ostrym zapachem ukochanej.

– Nie wiem, zawsze taka byłam. A ty?

– Pochodzę z daleka, z innego, lepszego świata. Masz... męża? – wyпалиł.

– Mam – przyznała z zawstydzeniem. – Jest mu ze mną wygodnie, bo nigdy nie walczę. Gdy zbliża się, nie potrafię przybrać zdecydowanej postawy, tak jak to robią wszyscy. Ale za to brzydzi się mnie, więc nie czuję się prawdziwą żoną.

– Zabior cię do mojego świata. Chcesz?

Kiwała głową z wyrozumiałym uśmiechem, jak matka, słuchająca matrymonialnych planów dorastającego syna. Pewnie wiedziała, że romans istot z dwóch różnych światów nie może skończyć się dobrze i miała rację. Jej mąż odnalazł gruchającą parkę przez infor i rzucił się na nieboraka Kalinę z rykiem wściekłego orangutana. Jeszcze zanim ogarnęło go obrzydzenie, zdążył rozorać mu twarz pazurami. Potem chwycił bezwładne ciało przez gazetę jak nieświeże mięso i zaniósł do Bestii Gminnej. Kalina odzyskał zmysły tuż przed jego zionącą paszczą.

– Rozgniótłbym plugastwo, gdybym nie siedział na urzędowych jedwabiach – zabulgotał dostojnik. – To bez wątplenia ziemski ugrzecznony pomiot nagich małp, numer kierunkowy znajdziesz pod „Z”. Przerzuć go czym prędzej, zanim zdąży wszystko zapaskudzić!

Tym razem maszyna funkcjonowała tak, jak to opisują w gazetach. Jedno pstryknięcie i Marcin Kalina, urzędnik, znalazł się w swoim, ziemskim świecie. Jego stan był fatalny: zgubił teczkę, a twarz po przekątnej przerynała mu głębokie zadrapania.

– To... łapka rozrządowa w Przerzutni Między Światami – wyjaśnił przestraszonej żonie. – Byłem w katastrofie – dodał dumnie.

– Ojej! Nic o tym nie pisali!

– Nie szkodzi – mruknął Kalina i wyjął z szafy nową teczkę. Od razu poczuł się raźniej.

Wydaje mi się, że Wam, Czytelnicy, jakby zbierało się na śmiech, a ta komedia właściwie jest dość smutna. Marcin Kalina zrozumiał, przesiadując godzinami za swoim

urzędniczym biurkiem, że naprawdę pokochał kobietę z innego świata. Nie dla jej mięsistych warg, czy nosa. Tam on był dla niej jedyny i niezastąpiony, bo tylko on nie zmieniał się w zwierzę przy zbliżeniu. Zaś sami z pewnością potraficie ocenić, ile warte jest zbliżenie, gdy partnerzy muskają się biodrami, a głowy z wściekle wyszczerzonymi paszczkami odchylają się tak daleko, jak to jest tylko możliwe. W najlepszym przypadku można ten akt nazwać połowicznym.

W tamtym świecie również ona była dla niego jedyną, bo od wszystkich innych musiała uciekać gdzie pieprz rośnie. Byli tylko dla siebie i pod ciśnieniem tego imperatywu rozkwitła miłość prosta i piękna, bo bez rozterek i jakiegokolwiek alternatywy.

Teraz Marcin Kalina żył w świecie ulotnych związków, w którym nikt nikogo nie szanował, bo każdy wiedział, że może mieć zewsząd, ile chce. Więc szukał swojej jedynej i niezastąpionej, szukał wśród morza światów tego jednego jedynego jak złotego ziarenka na rozległej plaży. Pytał znawców i znajomych, wertował księgi i pamięci komputerów, chodził do wróżbitów i astrologów.

Jest tylko jeden szkopuł, drodzy Państwo. Marcin Kalina robił to wszystko w marzeniach, leżąc w ciepłym łóżku o mrocznej porannej godzinie jeszcze przed przeciągłym wrzaskiem budzika. Często też myślał o kobiecie swego życia spożywając śniadanie w biurze, gdzie był zatrudniony w jednym ze światów równoległych. Lecz niestety tylko do myśli i marzeń ograniczała się jego działalność. Dlaczego? Prawdę mówiąc, nie miał odwagi burzyć swojej starannie wypielegnowanej równowagi ducha. Dom – sawanna – biuro – sawanna – dom. To takie wygodne i przyjemne. No i trochę, co tu ukrywać, bał się groźnego świata małp szablozębnych i pancernych pterodaktyli. Zaś swojej ukochanej i tak nie śmiałyby przywieźć tutaj, bo na Ziemi stałaby się tylko jedną z wielu.

Za każdym razem, gdy wkraczał na sawannę, Marcin Kalina z nadzieją oczekiwał katastrofy. Co dzień mniej, ale oczekiwał. Niechby los zdecydował za niego. A tu, jak na złość, maszyna działała bez zarzutu. Tak, jak pisano w gazetach.

Bo gazety, proszę Państwa, nie kłamią. Takich katastrof nie było, nie ma i nigdy nie będzie.